

Więcej niż rodzinny obiad

● Teatr Powszechny w Łodzi kończy bieżący sezon artystyczny na fali wznoszącej

● „Brancz” - bardzo udana prapremiera komedii autorstwa Juliusza Machulskiego

Teatr - recenzja

Łukasz Kaczyński

d.pawlowski@dziennik.lodz.pl

Niebanalny tekst. Autorska interpretacja. Dobre aktorstwo, za którym idą postaci bliskie widzowi. Sceniczna prapremiera ostatniej sztuki Juliusza Machulskiego „Brancz” w łódzkim Teatrze Powszechnym łączy wiele atutów. Składają się one w coś więcej niż modelowe wprowadzenie do repertuaru współczesnego tekstu dramatycznego. Ów naddatek, indywidualne odczytanie tekstu, był tu wręcz konieczny, bo sztuka zaistniała najpierw w odczynie reżyserii w Teatrze Telewizji. I właśnie jako komedia. W Łodzi Michał Siegoczyński odwrócił w „Branczu” proporcje. Zamiast uprawiać „oglądanie świata przez odwróconą lornetkę, która pewne rzeczy pomniejsza”, a dramat życia zmienia w komedię (jak robi Andrzej Mularczyk), potraktował komediowość „Branczu” jako właściwy dla współczesnego człowieka sposób bagatelizowania zdarzeń i relacji.

Reżyser „dociążył” sztukę wydobywając z niej tony tragicomiczne, i podkreślił emocjonalność członków spotykającej się przy stole rodziny, świadomy chyba, że przecież im bardziej się od siebie oddalamy, tym większą pracę musimy wykonać, by się pogodzić. Tak jest z reagującym emocjonalnie Szymonem (Artur Zawadzki) pokazał, że lepiej sprawdzi się w rolach o dramatycz-



► Cała obsada „Branczu” w Teatrze Powszechnym godna jest pochwały za stworzenie postaci, które mimo kądliwości i zaciętrzewienia od początku są dla siebie nawzajem ważne

nym potencjale, niż w czysto farsowych), który nie szczędzi chwili, by wypomnieć matce, Alicji, jej potknięcia, choćby w scenie z prezentami. Nie wszystkie efekty są zadowalające i wiadomo czemu służą, jak scena uczenia polskich łamańców językowych Olafa (Damian Kulec), hiszpańskiego narzeczonego Neli (Katarzyna Grabowska). Ciekawie poprowadzono postać ojca Neli, Knechta (Krzysztof Franciszek), który odmładza się związkami z kolejnymi partnerkami, bo „miłość nie wybiera”.

Na Małej Scenie Michał Siegoczyński wykorzystał środki niedawno ostro dyskutowane, a dziś już mocno przez teatr wykorzystywane: oglądanie aktorów okiem kamery, projekcje. Reżyserzy bez pomysłu sięgają po nie wręcz machinalnie. Siegoczyńskiemu udało się nadać im rangę. Weźmy chociaż scenę wejścia jednej z babć, Alicji (Barbara Połomska), która pomyliła hotele. Stateczna i jeszcze bardzo dziewczęca Alicja nie przyznaje się przed rodziną i samą sobą do ułomności (gorzej sły-

szy, a przez to nie wszystko rozumie), udaje nieomyślność i przywdziewa maskę osoby wiecznie pogodnej. Alicja przechodzi przez kotary, na które rzucany jest obraz rozbuchanej roślinności - wobec świata, który szybko się zmienia, jest bezbronna jak liliput. Ogródek przy hotelu bierze za ogród, hotel za salon wnetrzarski. Jedną tylko sceną kreśli charakter postaci, którą Barbara Połomska kreuje z konsekwencją do ostatniej chwili. Drugą postacią, której nie sposób nie obdarzyć czu-

łością, jest pozornie trzymająca ludzi na dystans Kazia, grana przez Wandę Neumann. Ciekawe, że piękno tych postaci wynika z ich słabostek, ale też z godności, z jaką ścierają się z codziennością i obciążającą je przeszłością. A ta ostatnia, gdy niezadowolona, obciąża młodsze pokolenia, co Machulski wnikliwie pokazuje w relacji Kazi z córką Martą (Karolina Łukaszewicz). Cała obsada „Branczu” godna jest pochwały za stworzenie postaci, które mimo kądliwości i zaciętrzewienia od początku są dla siebie nawzajem ważne. Trudne zadanie przy pomysłach reżysera, by odejść od realistycznej konwencji.

Wszystko co ważne, zapisać jest w tekście sztuki, więc aktorzy mogą siedzieć przy stole, twarzą nie do siebie, ale do publiczności, jakby każdy był tam samotny i skupiony na sobie, i mówić. I tak się dzieje, przez to widz konfrontowany jest z pewnymi pytaniami czy oskarżeniami. Kapitałny jest realizowany z konsekwencją zabieg wymazania potraw. Postaci jedzą z ostentacyjnie pustych talerzy. Gdy zamawiają wodę lub napój energetyzujący, dostają pozbawioną napisów butelkę z przezroczystym płynem. Czerwone wino też jest jak woda. Pomysł Siegoczyńskiego zasadza się na przekonaniu, że rodzinę konstytuuje rytuał wspólnego spożywania potraw. Że w rytm jej życia najważniejsze wydarzenia, jak chrzest czy ślub (mimochoodem mówią o nich postaci), rozgrywają się przy domowym sto-

Łódź doczekała się trzech różnych charakterem, wartościowych scen dramatycznych

le. Jeśli postaci spotykają się w hotelu, przy stole ze szkła i stali, a służy im młoda matka (Aleksandra Listwan), która nie może być właśnie przy chorym dziecku, to nie ma prawa być tam potraw. Nie pełnią roli, jaką przypisuje im rzeczywistość. Pewnie dlatego przedstawienie kończy jako dodatek do happy-endu scena (w realizacji Teatru TV jej nie było) ogniska i pieczenia kiełbasek. Scena zbędna, łzawa i z niższego rejestru niż całe przedstawienie. A także niezgodna z logiką przyjętych znaków - jeśli przed napisaniem relacji jedzenie było niewidoczne, teraz postaci nie powinny spotykać się przy ognisku z czerwonej żarówki, ale przy prawdziwym ogniu. Zastrzeżenie można mieć do mikroportów - z powodu pogłosu, efekt ich użycia jest dziwny.

Śmiało można powiedzieć, że Łódź doczekała się trzech różnych charakterem, wartościowych scen dramatycznych. Do „Jarczaka” i „Nowego” doszusiował „Powszechny” z Małą Sceną i ambitnymi, w dużej mierze udanymi realizacjami. Nietrudno wyobrazić sobie widza, który o każdej powie, że to jego scena. Oby nikt tego nie zepsuł. ●